

Jadwiga Stańczakowa

Poezje i prozinki

Wybrał i opracował Adam Pluszka

Wstęp Justyna Sobolewska

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Sobolewska

COPYRIGHT FOR EDITION © BY Adam Pluszka

COPYRIGHT FOR THE PREFACE © BY Justyna Sobolewska

COPYRIGHT © BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2024

Justyna Sobolewska

Wskoczyć w wiersze jak w rzeczkę

Jadwiga Stańczakowa, ociemniała pisarka i poetka, późno debiutowała. Miała sześćdziesiąt lat, kiedy – w 1979 roku – ukazał się jej pierwszy tom wierszy, *Niewidoma*.

Urodziła się w 1919 roku w Warszawie w rodzinie żydowskiej. Jej ojciec Abram (potem Adolf) Strancman był kupcem i przedstawicielem handlowym, a brat Jan architektem. Jadwiga przed wojną marzyła, żeby studiować kierunki humanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, ale ze względu na „getto ławkowe” musiała pójść do prywatnej Szkoły Nauk Politycznych na wydział ekonomiczno-finansowy. Błękitnooka, jasnowłosa, beztroska dziewczyna sprzed wojny i Jadwiga po wojnie – to właściwie dwie różne osoby.

Wojna przecięła jej życie na pół. Brat zginął w 1940 roku, rodzina trafiła do getta, a u Jadwigi wykryto nieuleczalną chorobę oczu. Dzięki pomocy swojego przyszłego męża Zdzisława Stańczaka uciekła z getta i uratowała też swoich rodziców. Adolf Strancman stał się Franciszkiem Kotarbińskim i przy takim nazwisku rodzice zostali po wojnie. Po wyzwoleniu Jadwiga zaczęła pracować jako dziennikarka, choć wzrok jej się pogarszał, a urodzenie córki Ani przyspieszyło całkowitą jego utratę. Jej małżeństwo się rozpadło. Jadwiga musiała stworzyć siebie i odbudować swoje życie na nowo już po niewidomemu – sama nauczyła się czytać brajlem i pozostała dziennikarką, a potem objęła funkcję redaktorki naczelnej pisma dla niewidomych „Pochodnia”.

Zawsze chciała pisać, ale dopiero poznanie Mirona Białoszewskiego okazało się katalizatorem twórczości (wcześniej przyjaźniła się z Władysławem Broniewskim). Dzięki Białoszewskiemu zaczęła tworzyć prozę autobiograficzną (autofikcję – jakbyśmy dziś powiedzieli). Miron ośmielił ją, żeby opowiadała o swoim życiu, o niewidzeniu i nawracających depresjach – tak powstała najbardziej znana jej książka, *Ślepak* (1982). Pod wpływem Białoszewskiego napisała

też *Dziennik we dwoje*, czyli własny dziennik z lat 1975–1978, w którym dopisywał się również Miron. Na podstawie tych zapisków Andrzej Barański nakręcił film *Parę osób, mały czas* (2005), w którym Jadwigę zagrała Krystyna Janda.

Już będąc niewidoma, posługiwała się nie tylko maszyną brajlofską, ale i tradycyjną czarnodrukową. Dla ułatwienia miała pozaznaczane plasteliną niektóre litery. Ale wielkim przełomem okazał się magnetofon szpulowy, a potem kasetowy. Zaczęła nagrywać swoje wiersze, a potem przepisywać je na maszynie czarnodrukowej. Poprawki wprowadzały lektorki. W *Ślepaku* czytamy, że magnetofon stał się dla niej narzędziem doskonałym: „Zapisuję głosem prozę i wiersze. Mogę kasować, poprawiać, sprawdzać. To cudowne, zwłaszcza w wierszach. Przywróciło starą funkcję wiersza – mówienie, słuchanie – wagę słowom, intonacji”. Jadwiga zaczęła nagrywać też Mirona czytającego swoje teksty.

Białoszewski cenił jej dziennikowe i prozatorskie pisanie, ale w stosunku do wierszy i do aspiracji poetyckich był bardzo krytyczny. Mimo to Jadwiga się uparła: „Wskoczyłam w wiersze jak w rzeczkę”. Pisała coraz więcej – lata osiemdziesiąte to był czas rozkwitu jej twórczości – wydała trzy tomy prozy i trzy książki poetyckie. Zaczęła też uprawiać jogę, medytować, ćwiczyć dermooptykę, czyli widzenie za pomocą dotyku, „widzenie głaskaniem”, jak je nazywała. I to wszystko znajdowało odbicie w jej pisaniu. Podobnie jak sny, przecucia i wizje. Odkryła też odpowiednią dla siebie formę poetycką – haiku, którą rozwijała po swojemu, i własną formę małej prozy, nazwaną „prozinką”. Tych ostatnich napisała cały obszerny zbiór, który od lat osiemdziesiątych leżał w Wydawnictwie Literackim i nigdy się nie ukazał.

W latach dziewięćdziesiątych wydawcy nie byli zainteresowani jej nowymi wierszami, kolejne książki wydawała więc własnym sumptem w małym wydawnictwie Borgis, które nie miało żadnej dystrybucji i nakłady zalegały w mieszkaniu. Jej twórczość popadała w zapomnienie, a ona sama funkcjonowała tylko jako sekretarka Mirona Białoszewskiego, po jego śmierci zaś – strażniczka pamięci.

W kolejnej dekadzie często trafiała do szpitala psychiatrycznego na ulicy Nowowiejskiej w związku z coraz cięższymi atakami de-

presji. Ale cały czas pisała, również o ciemnej stronie swojego życia. Zmarła w 1996 roku.

O jej skomplikowanych losach piszę szeroko w książce biograficznej *Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej* (2024). W czasie pracy znalazłam w teczkach wiele niepublikowanych tekstów mojej babci, które pokazują autonomiczną artystkę idącą własną drogą, niezależną od Białoszewskiego. Stańczakową z cienia Mirona zaczęły wydobywać też badaczki piszące o jej twórczości – między innymi Monika Ładoń, Tatiana Czerska czy Arleta Galant. Wznowiony w 2022 roku *Ślepak* sprawił, że czytelnicy zaczęli na nowo odkrywać Stańczakową. Teraz czas na jej wiersze i małe prozy.

Obszerny wybór, który mają Państwo w rękach, w połowie składa się z tekstów niepublikowanych, odnalezionych znacznie później. Sporą część tej książki zajmują prozinki, powstałe w latach osiemdziesiątych i będące zwartą formą prozatorską, scenkami, a czasem mikroopowiadania. Widać w nich, jak ważne dla Jadwigi były lekkość formy i paradoksalna, czasem żartobliwa puenta. W takim lekkim tonie opowiada nawet o swoich próbach samobójczych. W kilku zdaniach potrafi zmieścić całą historię, oddać tętno codziennego życia tych lat. Jej metodą jest maksymalna kondensacja, wyrzucanie nadmiarowych słów. Możemy też w tym wyborze prześledzić rozwój twórczości poetyckiej, kształtowanie się formy, od pierwszych tekstów, które przypominają zapiski w dzienniku – aż po późne, minimalistyczne wiersze kontemplacyjne, które zdają relację z przeżyć duchowych. Spojrzenie rozszerza się, obejmuje ziemię widzianą z kosmosu, pojawia się perspektywa nieantropocentryczna. Ziemia to tylko mały punkt, życie mrówek może być ciekawsze niż życie ludzi.

Jej pisanie było zawsze autobiograficzne, więc pojawiają się u niej postacie przyjaciół i rodziny. Niektórzy pod innymi imionami: Wicek z wierszy to Miron Białoszewski. Tomek – to jej zięć, a mój tata, Tadeusz Sobolewski. Stefan to Zdzisław Stańczak, mąż, z którym razem mieszkają, ale prowadzą osobne życia. Pan Florian to pan Julian Kiełkiewicz – jej przewodnik. Pani Hela, czyli pani Anna Guzej, pomoc domowa. Poza tym pojawiają się między innymi jej przyjaciółka, pisarka Celina Tatarkiewicz i przewodniczki

społeczne: Chuda Zosia, Aldona, lektorka Stacha, czyli Stanisława Goławska. Gospoia, czyli Tekla Wyrzykowska. Bohaterem jest też Ojciec, nazywany także Dziadkiem, który zmarł w 1976 roku. Pojawiam się też ja, mała Justynka. Centralnym miejscem dla niej jest mieszkanie porównywane do samolotu albo do akwarium: „Chodzę pływam po ociemniałym domu, / dotykam rzeczy czujkami łokci, / muskam płetwami dłoni ściany, drzwi. / Podpływam do szyby – / za nią noc łyśka rybim okiem”. Jadwiga opisuje też swój ulubiony kawałek Warszawy ostukiwany na spacerach białą laską – okolicy ulicy Hożej. Pisze o swoich przyjaciółach drzewach: jesionach na ulicy i kasztanie w podwórzu, o kawiarniach przy Marszałkowskiej. A także o ulubionych miejscach poza Warszawą – Kazimierzu Dolnym, Konstancinie, Laskach, Śródborowie.

„Czy byłabym poetką / gdybym widziała? / może oczy / zakrzywałyby we mnie / jasnowidzenia/ i widzenia” – czytamy w jednym z wierszy. Niewidzenie było punktem wyjścia dla jej poszukiwań – dla wyobraźni, podróży wewnętrznych, doświadczania innych stanów percepcji. Jej twórczość poetycka i prozatorska wchodzi w rejony wcześniej nieopisane: czerpie z doświadczeń osoby niewidzącej i zanurzonej w depresji. Twórczość Jadwigi jest śmiała, dziś zyskuje też nowe konteksty – dobrze więc, że możemy po tylu latach wskoczyć w rwący nurt jej wierszy i prozinek.

Poezje

Niewidoma

1979

Lato

Siedzę w Caritasie na dziedzińcyku
pod kasztanem,
pół czytam brajlowską książkę, pół marzę.
Ciepło. Dobrze. Rozbuchane zielska pachną.
Za mną klomb z figurą Świętego Józefa,
wątle kwiatki.
Słyszę od bramy głos: – Jak ładnie, cień, murek.
– Ach, to ty, Wicek!
Wicek mówi:
– Opera *Ślepa Jadzia w Caritasie*,
bo myślałem najpierw niewidoma,
ale to ma być dla tłumu,
więc musi być ślepa.
Oczy w górę – ona nie musi patrzeć.
Prawa ręka w powietrzu zamysłona,
a lewą ręką czytasz,
prawda, że tobie jest wszystko jedno,
możesz czytać obiema rękami.

Niecierpliwość

Idę przez pokój w kapeluszu.
Ojciec woła zza przegrody:
– Jadzia, nie chodź sama na ulicę,
wyrwą ci torebkę. –
Oganiam się jak od muchy
– e tam...
Coraz więcej ostatnio tych much –
on jest stary, ale i ja mam
pięćdziesiąt kilka lat.
Kiedy wróciłam z Caritasu,
mówi do mojego gościa:
– Tam dobrze,
tam się można schronić przed burzą.
– Już dobrze, dobrze –
i idę do swojego pokoju.

Widok

Wieczorem na Lizbońskiej.
– Chodź do okna –
mówi Wicek.
Dotykam ściany.
Macam.
Podchodzę.
– Patrz tam, wyżej,
bardziej w lewo.
– Latarnia?
– Tu, na dziesiątym piętrze?
Księżyc!
Zobaczyłam księżyc.

Kawałek nieba

Wicek wpada do mnie zziajany,
w rozpiętym futrze i kapeluszu
po panu Antonim, mężu swojej mamy.
Taska wielką choinę.
– Jaka gęsta – woła – i zgrabna! Piękna.
– Ale ja mam choinkę na balkonie,
Zdzisław kupił.
– To nic, będziesz miała dwie –
i opiera choinę o ścianę w moim pokoju.
Wieczór. Cisza. Las w domu pachnie.
– Przyjechała stara gosposia
z Piór Wielkich – mówię.
A Wicek:
– I śpi w kuchni za kotarą,
a twój ojciec przy swoich
dziewięćdziesięciu pięciu latach na chodzie,
krząta się u siebie
za cesarskimi wrotami.
Ciepło. Nie ma głodu. Nie ma wojny.

To ten kawałek nieba.

Grudzień 1975 r.

Widzenie dotykiem

Roman podaje mi
gruszkowaty przedmiot.
– Proszę zobaczyć, tykwa,
żółta, wpada w pomarańczowy.
Wodzę palcami po jej skórze –
śliska, stearynowa,
na czubie knot,
bokami spływają
gruzłowate węzły.
Świeca.
Noc.
Cisza łązi,
pobrzękuje czarną tykwą.
Rano tykwa żółknie.

Ostatnie rozmowy

Wróciłam z Kazimierza,
siedzimy przy obiedzie.

Ojciec:

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Włosy ci zjaśniały.

W nocy Ojciec w korytarzu:

– Przejdź.

Ja burczę,

że jeszcze nie śpi.

Rano

gospościa do niego zagląda –

on nie żyje.

Nie odmienię tych rozmów,

moich słów na lepsze.

Smętek

Sfrunął z czarnej gałęzi,
przysiadł na moim oknie,
a jak się z niego
nie ocknę?

Ucieczka

Zamknęli nas w getcie.
Uciekam.
Rodzice nie chcieli uciec.
Zostali.
Idę, sypie śnieg,
masyw kościoła czarny.
Wacha.
Podaję Niemcowi
blond uśmiech,
przepuszcza mnie
na aryjską stronę.
Powiedziałam narzeczonemu
przez telefon:
– Będę w kawiarence o siódmej.
Dochodzi siódma.
Kawiarenka gdzieś tu.
Ciemno, dotykam muru, macam,
potykam się
o moje niedowidztwo.
Gdzie drzwi?
Ktoś wychodzi – są.
Wchodzę,
nad marmurami stolików
szepty.
Pianista, tango.
Jego nie ma.
Wrócić?
Do getta nie ma
powrotu.
Dokąd pójść?
Siadam, podchodzi kelnerka,
zamawiam herbatę.
Wpijam moje nędzne oczy w drzwi –

Wchodzi wysoki chudy.
To on!

Za mąż za niego wyszłam,
rodziców wywlekliśmy z getta,
wojnę przeżyłam.
Ale już wtedy
te ściany,
te drzwi...
po kilku latach
oślepiłam.

Sny

Wrzesień w Kazimierzu.
Dobre dni, ale nie noce.
Moja matka leży
jakby w szpitalnym łóżku,
ale oddzielona od nas
(nie żyje od wielu lat).
– Dlaczego tak długo
nikt do mnie nie przychodzi? – pyta.
Mój brat stoi w pustym polu.
Milczy.
(zamordowany przez gestapo
w czterdziestym roku).
– Jasiu, wróciłeś,
naprawdę wróciłeś?
Brudna woda,
na brzegach ciemne drzewa,
liście w błocie.
Płynę z Anią, woda się lepi,
do brzegu daleko,
popychamy puste czółno.
Następnej nocy w Warszawie
umarł mój ojciec.

Ojciec

Żyliśmy obok siebie
odgradzeni zamkniętymi drzwiami
mojej ślepoty, jego głuchoty
i bardzo późnej starości.
Jego niespodziewana śmierć otworzyła te drzwi.
Ojciec siedzi tam – w swoim fotelu,
ogląda telewizję
z wyłączonym głosem.

Wizja

Szary dzień. Idę z Aldoną Nowogrodzką,
ulica terkocze, zgrzyta.
Przedemną z mgły wyłania się kształt serca,
rośnie, niebieścieje,
a w nim długie zielone łodygi,
liście, czerwone kielichy. Trzy.
Trzy czerwone tulipany.
– Idziemy na pocztę – mówi Aldona.
Olbrzymieje niebieskie serce,
ogromnieją w nim czerwone tulipany,
wyrastają ponad niewidzialne drzewa,
niewidzialne domy,
zajmują kawał nieba.
Jest mi, jakbym klęczała i płynęła
razem z ludźmi, z miastem.
Już całe niebo
w czerwonych tulipanach.

Dom

Wieczór, deszcz pochlipuje.
Stoję przy kuchni,
za mną już nie istniejące
postukiwanie laską,
niematerialny głos ojca:
– Jadzia, woda dopiero co
się zagotowała.
Dotykam czajnika – zimny.

Róża

Dostałam różę.
Nie zapytałam, jaki ma kolor,
a teraz jestem z nią sama.
Róża wychyla się z ciemni ślepoty
w moją widzącą przeszłość.
Idę na bal.
Matka przypina mi różę
do czarnej sukni.
Widzę ją w lustrze –
żółta w czerni.

Stary Hindus

Noc. Leżę na tapczanie – nie śpię.
Naraz w moim pokoju wyrastają góry.
Idę ścieżką za starym Hindusem.
Dotykam krawędzi tapczanu – tapczan jest.
Góry są, Hindus jest. Ja leżę, a idę.
– Dokąd idziemy? – pytam. On milczy.
Już go nie ma, nie ma gór.
Przykładam do ucha zegarek.
Tyka – czas jest.

Kontemplacja

Leżę
z oczami wpiętymi
w punkt,
okryta ciszą
bez czasu,
nade mną stare słońce.
Czy to ja
płynę po Nilu
w czymś?

Akwarium

Chodzę pływam po ociemniałym domu,
dotykam rzeczy czujkami łokci,
muskam płetwami dłoni ściany, drzwi.
Podpływam do szyby –
za nią noc łyska rybim okiem.

Sceptyk

Henryk podobno mówił:
– Na co jej to widzenie dotykiem,
do rozróżniania kiecek? –
tak źle jej nie osądzam.
Kiedyś widziała,
ma wspomnienia, wyobraźnię,
to lepsze.
Co o tym Henryk wie?
Przez lata ślepoty
ucieka pamięć widzianego.
A teraz kiedy moja dłoń
leży na niebieskiej sukni,
poprzez ślepotę
widzę niebo
w niebowym kolorze.

List na Pola Elizejskie

Władku!
Rocznica Twojej śmierci.
W Kulturze moje wspomnienia o Tobie.
Ja w tym samym mieszkaniu
postarzała o piętnaście lat,
moja córeczka, którą lubiłeś,
ma już córkę.
Wchodzę we wspomnienia jak w obraz
z księżycem nad zatoką,
zastygłe,
z piaskiem, z macierzanką.
– Miłości nie można wynająć – mówisz
i poruszasz się podпиты,
trzeba cię holować do furtki.
Teraz koło mnie nowi ludzie.
Zima, pada śnieg, taje
i tamto odtajało.
Chcę ci się poskarżyć,
że nie od razu weszłam w te wspomnienia,
że się trochę odzwyczaiłam,
że nie bardzo mi się chciało
czytać twoje wiersze.
Dopiero potem.

Piąty

Wieczór. Idziemy Hożą.

Wicek opowiada:

– Stoją dwie panie
z czarnymi psami,
średnimi.

Idzie pan z czarnym pudlem
na wysokich nogach.

O, czwarty pies –
czarny jamnik.

Panie ze sobą
rozmawiają,
psy się sobą
nie interesują,
pan z pudlem idzie
w stronę Marszałkowskiej.

O, piąty pies – w łaty,
przelatuje obok nas.

– Sam?

– Sam. Doleciał do rogu,
przysiadł, unosi łeb,
jakby kogoś wzywał.

Szczeka.

Naszczekał mi wstecz
niemą taśmę.